

LITERATURA I SZTUKA

TREŚĆ: „Źródło w górach” Cyprian Norwid—przez Tadeusza Micińskiego.—Cypriana Norwida dzieła wydał Zenon Przesmycki.—przez Franciszka Przesmyckiego.—„Mutatus ab illo” (poezya)—przez Jana Lemańskiego.—„Młoda Egipcjanka”—przełożył Artur Górski.—„Fala” (poezya)—przez Tadeusza Nalepińskiego.—„Śpiew kobiet”—przez Zofię Rygiel Natkowską.—„Strofa Safony” (poezya)—przez Kazimierza Wroczyńskiego.—„Miłość a poezja miłosna”—przez Wacława Rogowicza.—„Witraż”—przez Czesława Halicza.—Kronika literacka—przez d-ra Henryka Biegeleisena i d-ra Alfreda Nossiga.—Odcinek: „Z udziałem gromady”—przez Jana Lorentowicza.

ŹRÓDŁO W GÓRACH.

CYPRYAN NORWID.

—o—

Wydanie, jakiego niema ani Mickiewicz w nudnej akademickości, ani Słowacki w zabawnych nieporozumieniach, ani Krasiński w bigotyzmie udekorowanym—ma dziś Norwid.

Istna to kontyna słowiańska. Istna krynica eichego piękna.

Norwid, jako poeta mało jest dla mnie ciekawy—jaka się, ma rymy zakalcowate i jego prologi do nowel czy dramatów czasem, a nawet często, niemal że zawsze, robią wrażenie po przeczytaniu, że się połknęło ciężki brukowy głaz. Z pierwszego uchwytu nic się nie rozumie. Wydaje się to mową chińską z polskim brzmieniem. Z wyjątkiem kilku utworów, jak „Fortepian Szopena”, „Wiersz Często-chowski”, nowel jak „Ad Leones”, „Cywilizacja”, poematu jak „Promethidion”, które są śpiewne i muzyczne, większość robi wrażenie masy ciemnej, wieczorem idącej na odpust i słysząc mamrotanie, kantyczki, westchnienia, mądre jakieś słowo i ciężkie stapania w mroku... beładny szmer. I wieje od tego melancholia posępna.

Ale jest Norwid prorok. W dzisiejszych czasach to brzmi, jak potępienie... Lecz naprawdę gdyby wyobrazić, że Chrystus z apostołami jawi się wśród naszej literatury — to jedynie Norwid mógłby zasiąść przy Ostatniej Wieczerzy.

Słowacki na skrzydłach orlich przeleciałby nad skromnym domem w przedmieściu Jerozolimy; Mickiewicz porwałby Chrystusa za rękę wzywając Go natychmiast do Łazarza polskiego; Krasiński szukałby Go napróżno w ruinach Zamku Moria — tylko Norwid znalazłby Go — i wśród apostołów — on zdał by się godnym zasiąść wraz za świętym Janem.

Ten uśmiech, ta słodycz, ta mądrość, ta subtelna tęsknota wieczności, ten czar potęgi ukrytej Arcydzieła, i ta prawdziwa głębia wyrzeczenia się wszelkiej błahości podobania, nie mówiąc już — o brudzie zatracania wulgarnych instynktów!.. Jest dla mnie miarą, jaką książkę mogę czytywać przed zaśnięciem. Dawniej: Dante, „Król Duch”, „Biblia”, „O naśladowaniu”, „Upaniszady”, Nietzsche, Cervantes, Fredro, znów Nietzsche i Dante — a teraz Norwid. Uspokaja mnie, pogłębia, zamysła, rozjaśnia księżycowym lśnieniem zadumy w kontynie. I nie umiem wypowiedzieć, jak lubię słuchać tej zająkliwej mowy, gdzie błyskają głęby! Norwid jest przedziwnie polskim. Ale Polska jego w siermiędze. Nie można wyobrazić sobie Norwida z karabelą. Nie ma on rozmachu, animuszu, szarzy Somo-Sierrczyków (wyjątkiem wiersz do Abd-el-Kadera). Jest to samotny na końcu wsi mieszkający guślarz. Zbiera zioła lecznicze. Obchodzi stare kurhany. Zna przedziwne legendy. Wsluchuje się, rozmyśla. Wszystko czyni z trudem, zaczerpuje głęboko, stąd nieraz męty w tej wodzie — zawsze zaczarowanej leczniczością. Pozatem, Norwid jest szkołą wybora dla umysłu polskiego: ten latający przyrząd zmusza, by zaorywał ziemię, by uczuwał ciężar głazów i siłk się na drodze potoku je usunąć.

Norwida można „uwielbiać”. I wtedy się z pewnością błądzą. Norwida można „nie rozumieć”. I wtedy znak, że nie przyszła na nas wielka chwila zadumy i polskiego czynu. Norwida można kochać: a wtedy się jest z nim. Pomnę, raz pierwszy wziąłem Norwida do ręki, mając lat 24, gdym wykladał historię literatury polskiej XIX wieku. Z najwyższym smutkiem przekonałem się, że go nie rozumiem, że tam są klejnoty, ale nie wiążę ich w sobie, nie budują we mnie gmachu, zostają rozsypkami paciorkami.

W trzy lata potem w Rzymie, po kilku miesiącach wzięcia się w bazyliki i forum, w obrazy i rzeźby Watykanu, w pałace książąt i zbrodnie ich, zateknąłem nagle do Norwida i wziąłem też samego „Quidam”. I z niesłychaną muzyką uplastyczniał się moje wycucia Kolizeum nocą i zadumy w słońcu przy fontannie Trevi. Nikt mistycznie, przedziwnie nie mógłby do mnie przemówić.

Wróciłem do kraju. Idąc raz wśród zbóż dojrzających z jedną Dejanirą — rzekłem: przeczytam pani coś pięknego.

I zacząłem czytać „Quidam”. Moje przerażenie — mgły, słowa ciężkie! zaczęliśmy się do rozpuku śmiać. Teraz, w lat kilka, znów przeczytałem sam ten poemat, i zda się, że patrzę w wąz grecką z onyksu, z wspaniałą wewnątrz rzeźbą, która zmienia się, opalizuje, a zawsze zostawia na dnie: oblicze niemal boże schodzącej do Hadesu Persefony.

Prorokiem stał mi się Norwid, gdym w Tatrach czytał jego „Promethidion” i zaniósł St. Witkiewiczowi. Ten ze wzruszeniem najwyższemu po-

znał swego sobowtóra w natchnionym programie Twórczości Polskiej.

Nie wiem, czy moje to wyznanie, aż za nadto osobiste i przelotnie wyrwane ze mnie w czasach, gdy jestem zajęty dźwiganiem straszliwych bram upadki Polski, może starczyć za słowo w pamięć Norwidowi.

Ale tak bym nie chciał, żebyśmy Norwida po długim półwiekiem przemilczeniu, znów teraz przegadali!

Miriam zebrał zbożnie rękopisy i rysunki: wprowadza Norwida na światłość, jak tylko Mag może z grobu wyprowadzać Maga. Wydawca J. Mortkowicz zawstydził tych, którzy wydają tylko zawsze efektowne pokupne Gartenlauby.

I mamy wydobywającego się z piasków zapomnienia Słinska. Teraz już widać, że jest to jedno z najbardziej zbolących sympatycznych serc w Polsce. Co więcej, że jest to prawdziwie Człowiek Boży; jest to rybak „ludzi”. Nie znaczy to — Mistrz życia praktycznego, wystarczy przeczytać jego „Stygmat”, aby widzieć jasno, jak bardzo nie mógł sobie dać rady w życiu z jakimś względnie prostym zawiązanym. Niby paralityk nad sadzawką, tylko mocą Anioła był porywany.

Ale jest to Mistrz prawości duchowej. Ani trochę „Igorz” jak poetę nazywa Kaszub. Norwid wciąż mówi szeptem do grona zaufanych, opuszcza wszystko co jest zabawą, wyrzeka się wszelkiego lotu: jak ów Anioł, co zaczął służyć u szewca, chce zrobić doskonale sandały na drogę pielgrzymstwa polskiego. A te sandały czyni mocne i kreśli na nich swastyki.

I muszą one zawieźć już napewno do Źródła! Na górach wysokich kiedyś ono objawi się [wśród Zorzy.

każdemu — który naprawdę upragnął. „Marzyłem o powieści bynajmniej okazałej, A która działałaby się prozaicznej pory, Nie czasu fantastycznej doby, niewyraźnej, Nie czasu świtów mgławych czerwonych za- [chodów,

Co dziwne tła dla ludzi mają i narodów. I chciałem właśnie ową że wykazać prozę, Której się pisarz dotknąć uważa za zgrozę, W pałace tęcz, w tęcz szlaki wabiąc czytelnika, By mu się świat tam zamknął, gdzie książkę [zamyka.

Homo Quidam, z wejrzenia coś do ogrodnika Podobny (acz przez ławę oczy Magdaleny Chrystus Pan nie większej wydawał się ceny, Ani się jak Jowisz nagle stawił Stator, Ani jak mąż wielmożny i rzymski senator)”. Kończąc radością, że mogę w tych tomikach z cudnymi ilustracjami zatapiać swe oczy wieczorem, gdy mnie już wszystko zmęczy: tedy przyjdą „Chwile, co dają nieśmiertelność tchnieniem, A niepokoją wewnętrznie sumieniem, Szepcąc: że nikt nie są — że nad-prawdziwie!...”,

Tadeusz Miciński.

CYPRYANA NORWIDA DZIEŁA

wydał Zenon Przesmycki.

(Strona zewnętrzna).

Paradoksem byłoby twierdzić, że zewnętrzny wygląd książki musi się bezwzględnie wiązać z jej treścią. Książka jednak, jako środek porozumiewania się społecznego, ma tendencję do wytworzenia i utrzymania typu w danej literackiej dziedzinie a nawet okazuje oczy paradygmaty między szatą zewnętrzną a treścią. Romanse brukowe, drukowane są na najgorszym i najtańszym papierze. Rysunek na okładce krzyczy na przechodnia, czekającego na pociąg, „Sensacyja”. „Kupuj, skróć się, bie czas na pociąg czytaniem”.

Znamy dobrze powieści z wydawnictw Gebethnera. Szata ich zapożyczona z Francji, druk przejrzysty, format dogodny, jasno żółta okładka. Pod pozorem prostoty i banalności zewnętrznej formy książki, kryją się głębokie przeżycia artystyczne, tragedie rodzinne, powstają problemy życia i wysiłki do ich rozwiązania. Tutaj druk, niczem nie zwracając uwagi, obojętny, jak czarna głębia przepaści, wchłania w siebie całe morza namiętności, pragnień, bólów i radości, a potem oddaje je duszy czytelnika, zmusza do współdrżania, sprowadza z dotychczasowych a wskazuje nowe drogi. Stajemy na progu tajemnicy znaku, słowa dla myśli — pisma dla słowa mówionego.

Trudno sobie wyobrazić przeciętnemu czytelnikowi w Polsce radość bibliofila na widok zbyt pięknie wydanej książki. Przypuszczam, że pięści się z welinowym, japońskim lub chińskim papierem, gładząc go stokrrotnie, jak smakosz fioletowy puch brzoskwinii w mroźny dzień wyjętej z pudełka ze znaczkami pocztą australijskiej. Może jej potem nie czyta lecz znajdzie dla niej najsto-

sowniejsze miejsce, zamknie zazdrośnie na kilka spustów w bibliotece.

Inną znów formę zewnętrzną drukarską przybiera nauka zawarta w książce: dąży do powagi, lubi wielkie rozmiary, druk i papier dobrany sumiennie i w lepszym gatunku. Każda przeto funkcja życiowa indywidualna czy społeczna, utrwalająca się jakby w pamięci w piśmie, dąży do wyodrębnienia, do wytworzenia samoistnych form własnych, oczywiście w granicach środków drukarskich.

Po za temi wydawnictwami niezależnie od istniejących, stworzył Z. Przesmycki dla zagubionego przez społeczeństwo a przezeń odnalezionego poety C. Norwida nowy typ książki. Wyróżnia się on też szlachetnością formy, wytwornością, doskonałością szczegółów, przedziwnym szarmonizowaniem, nie tylko pomiędzy polskich wydawnictw lecz śmiało może rywalizować z najwytworniejszymi wydawnictwami zagranicznymi. Długo czekał C. Norwid na wydobyć z zapomnienia, lecz wreszcie, dzięki Z. Przesmyckiemu, ukazał się w szacie — nie królewskiej lub bogatej — lecz świetlanej, z której luno, czy pałac czy podwórko oficym jednakowo oświetlają. Wydaniem Chimery robiąc przełom w codzienności: pospolitości, wskazał Z. Przesmycki równocześnie drogę, po której winno kroczyć wydawnictwo peryodyczne artystyczne. Dzieła Norwida stają się dla nas klasycznym wzorem, jak należy wydawać poetów, pierwszym w Polsce od czasów złotego wieku naszej literatury renesansowej. Nie podobna podać zasad estetycznych, według których możnaby sądzić o wartości artystycznej książki, wskazówki jednak ku temu znajdziemy w samej istocie drukarstwa, jego materyale, i w ogólnych elementach artystycznych, fantazyi i twórczości. Książka składa się z białych płaszczyzn, pokrytych czarnymi znakami, literami, tworzącymi niejako zwarty ornament. Podobieństwo do rysunku rzuca się w oczy. W drukach zaś innych, np. arabskich a przedewszystkiem chińskich, łączność między ornamentem a drukiem jest dużo ściślejsza, do tego stopnia, że w poezji chińskiej forma liter i całego wiersza uzupełnia wrażeniem wzrokiem wrażenie poetyczne, otrzymywane przez rytm i rym. Wielkość kartek decyduje o formacie książki, wielkość płaszczyzny na karcie zajętej przez druk — o kolumnie. Krój pisma stanowi o jego rysunku, a ozdoby, jak inicjały, nagłówki i przerwy między elementami, w których najswobodniej porusza się fantazyja artysty-rysownika. W drukarstwie rozłożenie czarnych znaczków na płaszczyźnie odbywa się w wymiarach bardzo małych, miniaturowych, zasadniczą bowiem jednostką jest t. zw. punkt drukarski, równający się 0,3759 milimetra. Drukarz operuje temi małeńkimi jednostkami, rozszerza lub zwęża przestrzeń pomiędzy literami, słowami lub całymi ustępami i w ten sposób doprowadza do „dekoracyjnej równowagi” stronę w książce. Większe puste miejsca wypełnia rysunkami, dbając przy tem o utrzymanie jednolitego koloru strony. Ważną nie mniej jest praca na tłoczni drukarskiej, od której zależy kolor, równomierność i czystość druku.

W szczególności dalsze wchodzić nie możemy, tem bardziej, że należałoby teraz przejść do rzeczy raczej z rękodziełem, niż z właściwą sztuką, mające styczność.

Kiedy wreszcie po tych latach skrzętniej, trudniej i wytrwałej pracy znalazł się w zacisznym pokoju Zenona Przesmyckiego cały materyał do wydawnictwa dzieł C. Norwida, powstała przedewszystkiem kwestya jaki format ma przybrać książka.

Zdaje mi się, że format małej ósemki, podobny do brewiarza, powstał z pietyzmu dla C. Norwida, którego dzieła zawierają, jak brewiarz, pokarm i wskazówki na wszystkie dni żywota, i z miłości dla naszego narodu, któremu książka ta posłuży ku wzmocnieniu ducha. Tom każdy, mały rozmiarami wszędy, a gruby i pojemny, z góry nas uprzedza o bogatej zawartości — budzi kojarzenia z dawnymi książkami do modlenia. Kolumna druku jest bardzo wielka, utrzymana jednak w równowadze, o jedną dziesiątą część centymetra dłuższa lub szersza a wystąpiłaby z kartki; tu narzuca nam się mimowolnie analogia z każdym zdaniem Norwida, które tak pełnem jest treści, że przelewa się przez ramy, jakie wyraz nakreśla.

Zdawien dawna było zwyczajem drukować wiersze „kursywą”, t. j. drukiem podobnym do pisma, zaś prozę zwykłym drukiem. Do dzisiejszego dnia trudno jest znaleźć kursywę o pięknym kroju liter, wszystkie bowiem są zbyt pochylone ku prawej stronie, odsakują przeto zbyt od pionowej osi zwykłej antykwy. W czytaniu oko, przerzucając się z jednego rodzaju druku o osi pochylonej do drugiego o osi prostej, męży się i męczy. Troskliwość o doskonałość artystyczną i pietyzm Mariama do Norwida nie zna trudu. Wynajduje więc w odlewniach czcionek amerykańskich starą kursywę, wziętą z najlepszych druków botenderskich Elzewirów z Lejdy. Wydania Bonawentury i Abrahama Elzewirów z początku XVII w., Wergilego, Terencyusza, Tomasza à Kempis sławne były na cały świat i do

Dziś dnia, stanowią wzory sztuki drukarskiej. Kursywa Elzewirów ma tę właśnie korzyść, iż oś tego pisma jest możliwie najbardziej do pionowej linii zbliżona, krój liter jest przejrzysty, wyraźny, nie męczy oka, tworzy stronicę jasną i pozwala na umieszczenie w kolumnie długiego, pełnego wiersza, bez łamania w środku. Do tej kursywy obrany jest druk zwany antyką rzymską—bardzo wyraźny, doskonale godzący się z kursywą elzewirową. Drukowana jest nim proza, wszystkie tytuły wierszy, konieczne wyodrębnienia i uwagi. Jak wiadomo, każdy rodzaj pisma drukarskiego o danym kroju ma różne rodzaje wielkości i to poczynając od jednego aż do 84 punktów. Zwykły druk, przeważnie używany w książkach, nazywa się garmontem (=10 punktów), trochę większy—cicero (=12 punktów), mniejszy—petit (=8 punktów), a oprócz tych wiele innych rodzajów. W kombinacji tych różnych druków polega umiejętność zestawiania stronicy zgodnie z treścią rzeczy drukowanych. Miriam operuje tutaj wprost przeciwnie, dąży do najlepszego plastycznego podkreślenia myśli Norwida, do pomożenia czytelnikowi w odszukaniu myśli autora, do złączenia się z tą myślą. A wszystko to czyni w ten sposób, że czytelnik, bez trudu tocząc okiem po harmonijnie złożonych literach, wzywa się w myśl autora, a gdzieindziej, odrębnym charakterem pisma zatrzymany, zastanawia się, staje i duma, snadź autor bowiem żąda od niego napięcia uwagi, przeobrażenia w sobie oporu nowości rzeczy. Gdzieindziej znów małym drukiem sprowadza myśl autora do zwrócenia uwagi na marginesie.

Zwyczajem dawnych druków, umieszcza Z. Przesmycki na lewej stronie u góry, tuż nad kolumną, nazwisko autora, a na prawej tytuł dzieła, u dołu zaś strzegą porządku stron tak zwane „Kustody“, t. j. dwie początkowe zgłoski wyrazu, rozpoczynającego następną stronę. Tem na pozór drobiazgiem, temi kustodami, zbliża Miriam wytworzony przez siebie norwidowski typ książki do starych druków polskich, wyszłych z pod tłoczni drukarskich krakowskich Jana Hallera, Hieronima Wietora, Floryana Unglera, Szarffenbergiera—wreszcie do starych na całą Europę druków archytypografii Łazarzowej.

W każdym dziale poszczególnym zawarto umieszczone są jedne za drugimi utwory poetyckie Norwida, oddzielone jedynie bardzo wytwornym, choć skromnym rozmiarów przerywnikiem, dział zaś każdy ma swą odrębną tytułową kartę; na pierwszej stronie u góry umieszczony jest nagłówek, tekst zaś rozpoczyna się inicjałem. Z. Przesmycki, powołując artystę malarza Adama Potawskiego do uzupełnienia harmonijnego swemi kompozycjami nagłówków, inicjałów, przerywników i karty tytułowej nie mógł lepszego wyboru uczynić. Zaczepnięte motywy ze świata roślinnego p. Potawski z powagą i surowością ujął w harmonijny rytm ornamentu, jakiego wymaga bliskość druku. Kolorystyka czy nagłówka nigdy nie występuje po za ogólny jasny ton, jaki posiada cała drukowana strona, a mimo bogatych zwojów liniowych nie traci wyrazistości i przejrzystości. Z ogólnym kolorytem książki łączy się też nadzwyczaj wytwornie skomponowana karta tytułowa, a osiągnięto tę łączność artystyczną przez nader umiejętnie obniżenie natężenia farby drukarskiej—przez odbijanie w kolorze szarym. Przypisy do dodatków artystycznych, owoc sumiennosci, wiedzy i wysokiego poczucia artystycznego Z. Przesmyckiego—staną się klasycznym wzorem. Nietylko bowiem opis każdego plastycznego dzieła reproduktowanego i rodzaj techniki jest podany, nietylko dokładne znamiona zewnętrzne, jak wymiary, rodzaj papieru, pochodzenie, lecz i geneza twórcza autora, związanie ideowe z treścią współczesnych mu utworów poetyckich. A do tych wszystkich nieodzownych szczegółów dodaje jeszcze Z. Przesmycki np. na str. 1082 historię, jaką przechodził utwór plastyczny Norwida po wyjściu z pracowni. Po tak do-

kładnem zbadaniu dzieła artystycznego, wynajduje Z. Przesmycki najstosowniejszy i najwierniej oddający oryginalną reproduktowania odcisków utworu.

Rysunki piórkami reproduktowane są przeważnie cynamotyczne, tj. wprost naśladowujące kreskę oryginału, a umiejętnie retusze łagodzą surowość cynamoty i doprowadzają do identyczności z pierwowzorem. Akwarele, litografie, rysunki węglem i akwaforty reproduktowane są zwykłą autotypią, lecz doprowadzoną do doskonałości lub światłodrukami. Łagodność tonu i delikatne przejścia niektórych utworów oddane są w reprodukcji sposobem in caglio zwanym, będącym właściwie heliografią, przystosowaną za pomocą siatki do druku na szybkich maszynach drukarskich.

Doskonałości heliografią z wizerunku C. Norwida, malowanego przez Szyndlera, usuwa się z pod uwagi wobec wrażenia, jakie na nas ta podobizna genialnego poety z ostatnich lat jego życia wywiera. Nie błąka się już w kącikach jego ust znany nam z poprzednich portretów uśmiech pobłażliwości dla rzeczy ludzkich, uśmiech pewności swojej gwiazdy i wartości swej duchowej; zastępuje go skupienie i powaga. Olbrzymie jego czoło promieniuje czystością myśli, a oczy wpatrują się w głąb swej duszy, widzą nieskończoność i prawdę istnienia, zjawia nam się, jakgdyby z zamierzonych czasów wapsod, z druidycznie rozwianym swym włosom.

Szczęśliwie się złożyło, że Z. Przesmycki znalazł w osobie p. I. Mortkowicza chętnego, a nie liczącego się z kosztami wykonawcę swych pomysłów, to też słusznie mu się należało umieścić swój podpis na numeracji egzemplarzy, obok podpisów Z. Przesmyckiego.

Franciszek Siedlecki.

MUTATUS AB ILLO.

I.

Amerykanin człowieka cenil,
O ile ten ma złoto w kieszeni;
Mów na Anglika, Niemca, na Boga,
Francuza, że jest biedny — obelga!

A Polak?... Niedgdyś w proch rzucał w Rzymie
(Pan Ossoliński) sumy olbrzymie,
Koniom podkowy dając ze złota,
Aby zbierała, spadła, hołota.

Dziś polski gust się zmienił po trosze:
Polak, jak inne ludy, ceni grosze;
Jego natura magnacko-płocha,
Z dominującą zmuszona chwila,
Żyć w bratniej zgodzie — wielbi Molocha.

Quantum mutatus Polak ab illo

II.

Pieniądz — to szczęścia zwodne mamidło —
Znaczy pecunia według łaciny;
Pecunia z pecus ma narodziny,
A pecus znaczy po polsku — bydło.

Więc chciałbym wiedzieć, z jakiej przyczyny,
Przez jaką moc, przez jakie prawidło,
Zkąd, mając przeszłość taką obrzydłą,
Pieniądz tak szczytne zajął wyżyny?

Nie masz — toś paryas, masz go — toś hrabia.
Choć wszystkie cnoty ktoś uosabia,
Choć jest sumienny, dobry, uczciwy;
Jednak powiedzcie, przez jakie dziwy
Mniej jest ceniony, niż ten, kto chciwy
Tylko na złoto, sum się dorabia?..

III.

„Wielkich pieniędzy troska naśladuje
Wielka“ — Jan pisał ongi z Czarnolasu.

Niech tam poeta co chce wygaduje,
Lepszy z pieniędzmi jest brzuch, jak kolasa;

Lepsze z pieniędzmi są największe troski;
Lepsza z pieniędzmi choroba największa;
Cóż ci, choć cnotę cię korona upiększa,
Po życiu, jeśli złota nie masz troszki!

„Ze złotem przejdiesz wskroś Janczarów snadnie;
Ze złotem twarde przebijesz opoki“.

Jeśli to prawda dla tamtej epoki,
W której napisał to Jan z Czarnolasu,
To prawdą jest i dla naszego czasu:
Ze złotem w górze's, a bez złota — na dnu.

IV.

„Cnota skarb wieczny, cnota klejnot drogi,
Tego nie wydrze nieprzyjaciół srogi;
Nie spali ogień, nie zabierze woda,
Nad wszystkim inszem panuje przygoda“.

Dziś bez wyznawców te zbawcze przestrogi,
Dziś lepsze złota góry, sterty, brogi;
I gdyby dawny dziś żył wojewoda,
Najniezawodniej rzekłby na to: zgoda!

Dziś gdy treść życia w złotej jest walucie;
Dziś gdy jest zbrodnią na Molocha plucie;
I my przerwmy to sumienia kłócie.

Gdy wszystko inne dziś jest krotoczwila,
Prócz złota, żyjmy i my złotą chwila!

Quantum mutati a tempore illo!

Jan Lemański.

MARYA EGIPCYANKA.

Żywoć ze ZŁOTEJ LEGENDY błogosławionego
JAKÓBA VORAGINE'A.

Święta Marya Egipcyanka, zwana także Jawno-grzesznicą, wiodła żywot na puszczy przez lat czterdzieści siedm, żywot pokutniczy i pustelniczy. Opat pewien, nazwiskiem Zosim, który przeszedł był Jordan i przebiegał puszcę w nadziei napotkania tamże świętego jakiego eremity, spostrzegł pewnego dnia przed sobą postać dziwną, całą naga, o ciele zupełnie zczerniałem i spalonem od słońca. Postać ta natychmiast rzuciła się do ucieczki, a Zosim rozpoczął za nią pościg, biegnąc ile tylko miał sił w nogach.

Zaczem postać owa ozwie się doń: „Opacie Zosimie, czemu mię prześladujesz? Wybacz mi, że nie mogę odwrócić się do ciebie; alem kobieta i naga jestem! Rzuć mi twój płaszcz, abym mogła, okrywając się nim, patrzeć na ciebie bez wstydu!“

Opat, zdumiony, że go zawołano po nazwisku, rzucił jej płaszcz swój i, padłszy przed nią całując ciałem, prosił ją o błogosławieństwo. A ona na to: „tobie to raczej przystało dać mi swe błogosławieństwo, ojcze mój, tobie, któryś okryty godnością kapłańską.“ Zosim tedy, widząc, że znała nie tylko jego nazwisko, ale i charakter kapłański, zdumiał się jeszcze bardziej i tem mocniej obstawał przy swoim, aby mu udzielił błogosławieństwa. A przeto ona: „Błogosławiony niech będzie Pan, dusz naszych Odkupiciel!“ A w czasie, gdy się modliła ze wzniesionymi rękoma, Zosim spostrzegł, że była wzniesiona nad ziemię na wysokości łokcia. Na ten widok podejrzenie wślizgło się do duszy starego pata i zapytał sam siebie zali to nie duch jaki, przybrany w pozór modlitwy, aby go zwieść. Lecz ona na to: „Niech cię utwierdzi Bóg, opacie i niech nie dopuści, abyś miał biedną grzesznicę brać za złego ducha!“ Natenczas wezwie ją Zosim w imię Pana, aby mu powiedziała kim jest. Ona zaś: „Ojcze, wybacz,

„Z UDZIAŁEM GROMADY...“

—Olloll—

Józef Weyssenhoff; GROMADA. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1913, str. 360 w 16-ce.

Powieściopisarze nasi przyzwyczaili nas do tego, iż bardzo rzadko w swych opowiadaniach wychodzą po za sferę obyczajów, charakterów lub „psychologicznych“ analiz. Życie społeczne, życie zbiorowe nie zbyt się nadaje, według nich, do obrazów i syntez naracyjnych. Jest to, oczywiście, nieporozumienie, każdy bowiem stosunek jednostki do społeczeństwa może być doskonałym przedmiotem sztuki. Chodzi tylko o to, aby artysta miał ocalić własny stosunek do przedmiotu, tj. aby w najbardziej subiektywnych momentach pozostał niezależnym ideowo twórcą dusz, sytuacji, nastrojów, aby pamiętał, że sztuka jego musi mieć cel sama w sobie, w swych walorach artystycznych, nie zaś w wynikającej z jego opowieści nauce lub wskazaniach społecznych. Dzieło sztuki nie powinno rywalizować z artykułem publicystycznym, nie może być poglądową metodą doskonałości tych, nie zaś innych przekonań, tej nie zaś innej wiary społecznej.

Świetny twórca pięknego „Sobola i panny“ od dłuższego już czasu stara się przekonać i siebie i swych wielbicieli, że twierdzenie takie jest tylko doktryną, że właśnie szeroko pojęta publicystyka może stanowić zasadniczy motyw dobrej powieści. Rozbite na tysiąc sprze-

czności życie polskie, nasze stałe udawanie niepodległego narodu, w którym jaknajzarszta walka przekonań, stronnictw, grup, klik i jednostek ma być dowodem żężyzny duchowej i pełni życiowej—wytrąca niejednego pisarza-artystę z równowagi. Jedni (a w ostatnich czasach coraz liczniejsi) uciekają do przeszłości; inni, których dławi rozpacz chwili, chcą budować przyszłość przez publiczne rozważanie niedomagań, nadziei, niepokojów, poczynają naszej teraźniejszości. Do tych ostatnich należy Weyssenhoff. Po „Dniach politycznych“, „Unii“ i „Hetmanach“, gdzie zagadnienia dnia traktowane były już to satyrycznie, już to uczuciowo, otrzymujemy powieść, w której istotę stanowi raczej pierwiastek rozumowy, tj. rozstrząsania, dyskusje zbiorowe, deklaracje wiary polityczno-społecznej, wreszcie pouczające wskazania najlepszych form zbiorowego bytu polskiego. Ideę „Gromady“ wyraża jeden z główniejszych jej bohaterów w taki sposób: „Bo przecież wszędzie, gdzie się coś na wsi porządnego poczyna i rośnie, w okolicy i w szerokim kraju — wszędzie to się dzieje za przyczyną lub z udziałem gromady“. Aby ten ideał zasady: „z szlachcią polską polski lud“ wyłożyć poglądowo, Weyssenhoff wziął za punkt centralny swego opowiadania budowę domu ludowego w łowickiej wsi, Mielnie. Historia tej budowy mój pokazać dwa gatunki realnych, nowoczesnych ludzi w Polsce: demokratyzującą się szlachtę i budzącą się do współdziałania społecznego z dworem lud.

Szlachcie Weyssenhoff zna doskonale, rozumie wybornie jej rasowe zalety i wady. Chociaż każe jej zbyt jeszcze często mówić o herbach, to jednak

widzi w niej coraz wyraźniejsze objawy uświadomienia patryotycznego, coraz dobitniejszą pewność, że jedynie na ludzie i z ludem budować można przyszlą Polskę. Ludzi tych Weyssenhoff nie idealizuje, ani lekceważy. Widzi wśród nich całą różnorodność typów i typy te uwydatnia z wydatną plastyką. Godziemba, pracujący na ojca narodu, ma w sobie despotyzm wielkopański, obok gotowości do pracy społecznej i poświęceń. Ukazuje się mało, zawsze w uroczystej roli działacza, ale dość żywo i realnie. Więcej „papierowym“ jest doktor Czernski, sławny lekarz w Lublinie, człowiek wysokiej kultury, zbieracz zabytków i dzieł sztuki, świadomy życia narodowego obywatel. — Weyssenhoff nie pokazuje go w żadnym czynie, w żadnej, dostatecznie uwypuklonej sytuacji, ale raczej w skrócie retorycznym. Oto w jakich słowach doktor Czernski mówi o demokracji: „Pomimo osławionego naszego nierządu i innej uwydatnionej niedoli, myśmy dążyli konsekwentnie do najszczytniejszej demokratyzacji, do równouprawnienia czynnych obywateli... I to szlachectwo polskie nie miało nic wspólnego z feodalną szlachcią Zachodu, ani z hierarchiczną kamaryllą Wschodu; posiadał je równouprawniony obywatel polski, civis Polonus i było to coś w rodzaju patentu dojrzałości do udziału w rządzie i w prawach obywatelskich. Jeszcze krok dalej: zniesienie dziedziczności praw szlacheckich, a stali byśmy się idealną gromadą republikańską. I dzisiaj, pomimo setnych przeszkód zewnętrznych, ten proces historyczny trwa: lud się budzi do obywatelstwa, czyli do polskiego „szlachectwa“, szlachty zaś, w znaczeniu stanu uprzywilejowanego niema już wcale“.